

Zbliżałem się do miasta pełen rozrzwienia, a gdy się po nim rozpatrzyłem, gdy wysłuchałem smutnej opowieści o losach ludzi doby ubiegłej, Charków stał się dla mnie wielkim emmentarzystycznym wspomnieniem i łzą smutku powitałem ów mogiłek przeszłości. Wszyscy przedniejsi z dawnej kolonii ziemaków naszych bądź się rozbiegli po świecie, bądź spoczęli w mogiłach... Tym, zaś, najlepsza pono część dostała się w udziale.

Wśród tej wielkiej trzebieży, dokonanej dłonią czasu, pozostał tylko jeden, jedyny z ludzi dui minionych, zostawiony jakby na świadectwo, jakimi byli dawni pracownicy winnicy Pańskiej.

Bo i jakich-że ludzi ów daleki gród stepowy nie posiadał w swych murach na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu? Począwszy od Seweryna Potockiego — pierwszego kuratora i rzec można założyciela charkowskiego uniwersytetu — od Tadeusza Czackiego, który, delegowany tam w sprawach nauki, bawił rok cały — Charków był siedzibą i korzystał z wiedzy Ignacego Daniłowicza, Grzegorza Hreczyny, Józefa Korzeniowskiego, Aleksandra Mickiewicza (brata Adama), Alfonsa Walickiego, Antoniego Stanisławskiego, Norberta Jurgiewicza i wielu innych ziemaków naszych znanych z nauki, pracy i miłości dla młodzieży, której przewodniczyli...

Poczet tych mężów wybitnych w naszym społeczeństwie, którzy tam stale przebywali, lub chwilowo gościli, znacznie jest większy nad szeregi wymienionych tu imion; znaleźlibyśmy w nim i Adama Mickiewicza, który w Charkowie jakiś dłuższy czas bawił, w jesieni 1825 r. pod gościnnym dachem Ignacego Daniłowicza, znanego mu z Wilna, a wówczas, gdy Adam z Krymu jechał do Moskwy, będącego dziekanem wydziału prawnego wszechnicy charkowskiej; znaleźlibyśmy i inne mnogie i krajowi drogie imiona, lecz nie piszemy dziejów w naszej kolonii za Worskłą. Inne pióro, o ile wiemy, skrzętnie notuje wszystkie fakta, odnoszące się do tych dziejów, co wskażą potomnym, iż tu nie próżnowano, hojnie rzucając ziarno nauki, szafując skarbami uczucia i szczepiąc niejedną myśl pocziwą. Dużo tej pracy poszło na marne, huragan rozwał wiele z onych ziarn, niejedna ich garść padła na ugor jałowy i miasto spodziewanego plonu, chwastem zazieleniła się, niwa wytrwałej pracy. Były jednak siejby, i liczne, co odpowiadały oczekiwaniom Bżych oraczy. Stawało się tam wielokrotnie według słów Pisma, a z przyczyn niezbadanych dla ludzkiej mądrości, iż pszenica kłakol wydała. Niwy bardziej zroszone znojem pracy, ogrzane promieniem ognisk rodzinnych, przyniosły owoc zgorzkniały, gdy tymczasem opoki bujnym kwieciem porosły... *Spiritus flat, ubi vult.*

Skrepowany okolicznościami i czasem, bez wytechnienia chodząc po mieście, aby w ciągu chwilowego pobytu ujrzyć raz jeszcze w życiu wszystkie one miejsca, z którymi się wiązały cenne dla mnie wspomnienia.

Od kościoła rozpocząłem mą wędrówkę po tym emmentarzystycznym wspomnieniu. Był to dzień powszedni i godzina nader wczesna. Cicho i pusto było w świątyni maluczkiej, schludnej, na której nie widać niszczącej dłoni czasu; znać gromadka tamiecznych parafian nie zapomina o tym cennym *asylum* smutnych i znużonych patników życia. W dniu jednak mych nawiędzin nikogo prawie w kościółku nie było. Dwie lub trzy kobiety, schyłone kędyś u progu, nieco dziatwy, nieco nędzy, tych najmilszych dla Chrystusa uczestników królestwa Bożego — stanowiło całe audytorium kilku mszy, które ze wzorowym porządkiem codziennie odprawiają kapłani tamieczni. Świątynka jest dziś pokrzepiejszą, niż dawniej, owoc to wszakże zabiegów trochę wcześniejszej epoki. Naprawdę jednak szukało moje oko w onym kościółku umieszczonego tam niegdyś obrazu Chrystusa, pensla naszego znakomitego powieściopisarza Józefa Korzeniowskiego. Obraz ten znajdował się w jednym z bocznych ołtarzy; niema go tam teraz, zastąpiono go innym; kiedy.. dopytać się nie mogłem. Podobno, jak mi powiadano, śladu po Korzeniowskim niema nawet i w księgach kościelnych. Inwentarze mienia ko-

ścielnego, wspominające o tym obrazie, uprzednio przed kilkunastu laty nagle znikły: domyslała się, że ktoś z rodziny słynnego pisarza zabrał z Charkowa tę pamiątkę cenną.

Ze świątynki skierowałem swoje kroki do murów uniwersyteckich. Czas był to wakacyjny. Przedsionki i sale akademickie nie roily się tłumem młodzieży. Gmach wprawdzie stał otworem, lecz jedynie ciężkie kroki odzwierne odbijały się przeciągłym echem o sklepienia korytarzy i pustych podsieni. Pęk kluczy, godło urzędu, dzwonił mu u pasa. Pozdrowilem staruszkę i zapytałem, czy dawno tu stoi na straży drzwi akademickich.

— O dawno, bardzo dawno, już lat ze czternaście...

— Więc nie pamiętacie profesorów: Walickiego, Mickiewicza, Stanisławskiego? — pytałem odzwierne.

— Nie, nie pamiętam pierwszych dwóch; ostatni był jeszcze przy mnie... ot tu, w tym audytorium zwykle czytywał lekcje.

Odzwierne, od czternaście lat czuwający nad gmachem, był już dla mnie postacią zbyt współczesną, przestałem go więc niepokoić pytaniami i samotny, w towarzystwie tylko cieni przeszłości, przebiegałem sale wszechnicy. Znikłe oddawna z tego zakątka nauki postacie mistrzów przesunęły się wśród izb, tak dobrze mi znanych. Szedł tedy Alfons Walicki, dziekan historyczno-filologicznego wydziału, o obliczu pogodnym, czołe wyniosłe, z którego świeciła aureola wiedzy. Przesunął się starzec milczący, skupiony w sobie, w długim płaszczu, co pamiętał epokę krzemienieckiego liceum, w czapce, jaką chyba w Soplicowie noszono, za dni pana Tadeusza — to Aleksander Mickiewicz, prof. prawa rzymskiego. Gdyby zechciał zdjąć ową klasyczną osłaniającą go czapkę, ujrzelibyśmy piękny profil, przypominający rysy jego nieśmiertelnego brata, ujrzelibyśmy wzrok ongi zapewne pełen ognia, wtedy już przygasły, zapatrzony w głębie własnego ducha, pozornie obojętny na wszystko, co go otacza. Postać ta cicha, zamknięta w sobie, niekiedy, acz bardzo rzadko, ciskała dowcipem, który na radach uniwersyteckich stawał się postrachem dla kolegów jego pracy. Za temi cieniami zmarłych, wspomnienia moje wywołały cienie żyjących, lecz pracujących już gdzieindziej, a od wielu lat niewidzianych mistrzów. Przemknęły więc przed moją pamięcią dalsze szeregi widziadeł przeszłości.

Twarc biała, smutna, z dobrotliwym uśmiechem, a księgą klasyków w dłoni — to Jurgiewicz, filologii starożytnej profesor; owa zaś wyniosła szlachetna postać, pełna wdzięku wiekustej młodości, co go dotąd pono nie opuściła, to znany szerszym naszej powszechności kołom ze swego znakomitego przykładu Dantego — profesor i dziekan wydziału prawnego, A. Stanisławski...

Brzęk kluczy odzwierne, który znać już miał opuścić izby uczelni, przypominał mi iż czas na gli i pora biedz dalej wśród tego mogiłnika wspomnień.

Pociągnęłem przeto ulicą, niezbyt zdając sobie sprawę dokąd idę, i po jakimś czasie, jakby instynktownie, stanąłem u wrót jakiegoś domostwa. Podniósłszy głowę, chciałem iść dalej, ale rozpatrzywszy się, pozostałem u owych wrót, wyglądających pokaznie, godowo, acz to stare wrota, prowadzące niegdyś do siedziby Aleksandra Mickiewicza. Po za odmlodzoną bramą, w głębi dziedzińca, stoi dotąd domostwo stare z ogródkiem. Wśród tej cichej zagrody spędził on długie lata, chętnie widując gości u siebie, sam zaś mało wychylając się z domu, który był urządony na sposób wiejski, litewski. Dziwnie swojska atmosfera wiała w onym domu z każdego zakątka, przechodząc mógł zapomnieć, iż nie jest w starym dworze litewskim, tak tam wszystko tęnęło naszą starą patryarchalną prostotą. Kiedy przepływałem próg tego domostwa, zdawało ci się, iż jesteś gdzieś w Nowogrodzkiem, lub Słuckiem: przestrzeń, obce otoczenie znikły, czułeś się u siebie, pod rodzinną strzechą. Młodzież uniwer-

sytecka, tak w onym domu, jak pod dachem prof. Walickiego, mogła zaczerpnąć pełną piersią powietrza pól rodzinnych. Podwoje obu tych domów, a niemniej i innych domów profesorów — stały dla niej otworem. W czasach, kiedy na katedrach uniwersytetów cesarstwa wiedziano ludzi obcego obyczaju, nader cenną dla naszej młodzieży była owa możność bliższego obcowania ze swymi mistrzami; opadała tam z nas rda szkół nowoczesnych, których poziom, szczególnie w prowincjach zabużanskich, stał wtedy nader nisko.

Domy profesorów Walickiego i Mickiewicza, skupiające najtłumniejszą gron młodzieży, rdzenie wzajem różniły się w swym urządzeniu. Pierwszy biegł bardziej z biegiem czasu; drugi ani na krok nie ustąpił z drogi tradycji. Nieznano w nim gwaru, nie rozciągano zbyt szeroko jego podwoi, jakby w obawie, by nie weisnęły się przez nie zbyt wielkie prądy obecnej atmosfery. Na tle tego wiekustego spokoju, co niezmiennie u progu Mickiewiczów gościł, poważnie odbijała postać gospodarza domu. W swój litewski długiej kaptocie, z nieodstępą fajką z piórkiem w ustach, siedział on pospolicie w gabinecie milczący, poważny, gdy jednak mówił powoli, ze spokojem, z akcentem nieco litewskim, słuchałem go z całym zapalem osiemnastoletniego wyrostka, co od kolébki nauczył się cenić przeszłość i umiał szanować włos siwy i doświadczenie starca.

W czasie tych pamiętnych dla mnie posiedzeń w gabinecie siwowłosego mistrza, wielokrotnie z ciekawością rzucałem wzrokiem na dużą szafę, gdzie wedle podań, jakie wśród nas, młodzieży, krążyły, miały się znajdować manuskrypta pierwszych prac nieśmiertelnego Adama. Niestes! szafa ta nigdy się nie otwierała, wobec profanów przynajmniej — i dotąd dokładnie niewiadomo, czy zawierała ona cenne skarby pierwocin prac wieszcz, lub czy wieść o nich była tylko utworem bujnej wyobraźni młodzieży. Zresztą, profesor nigdy o wieszcu nie mówił i kiedy jeden z młodzieży, wracając z wakacji, przywiózł mu biuścik Adama — co było wówczas rzeczą zupełnie nową, bo dopiero o rok później portrety i biusty wielkiego poety ukazały się w handlu, poważny mistrz rozrzwiał się, uściśkał młodzieńca, ale wnet biuścik schowany został i już oko ludzkie więcej go nie oglądało...

Zapatrzony w tę cichą siedzibę, której progi tak dla mnie ongi były cennymi, przebyłem u jej wrót zbyt długą chwilę. Wzrok mój i myśl cofały się w przeszłość bezpowrotną, czerpiąc z jej skarbnic siłę do dalszej wędrówki przez przepaście drogi życia, wskazane dłonią mistrzów. Cześć wam i pokój, żyjący i zmarli pracownicy, coście u mieli przechować arkę tradycji, pracy, miłości i poświęcenia!..

Od starych wrót tej zagrody, z której już uleciał oddawna wraz z dawnymi gospodarzami duch swojszczyzny, co ją ożywiał, pociągnąłem do siedziby, zajmowanej przed laty przez prof. Antoniego Stanisławskiego, chcąc bodaj jednym spojrzeniem uczcić owo miejsce pobytu zasłużonego mistrza.

Skromna facyatka do dziś istnieje. Tam, wśród maluczkich izdebek, zdala od gwaru miasta, pracował znakomity profesor nad przekładem „Boskiej komedii.“ Z pod tego dachu ubogiej facyatki wyniosłem niejedną myśl, zaprawną solą mądrości i rozważy. Lecz nie ja jeden czerpałem z oniej krynicy doświadczenia i wiedzy; drzwi facyatki przed żadnym z adeptów nauki nie zamykały się; darzono tam wszystkich zarówno, kto tylko do nich zakolatał, słowem zachęty do pracy i ufności w swe siły.

W innej okolicy miasta, w gmachu tak zwanego starego gimnazjum, zajętym obecnie przez wielu lokatorów, mieściło się niegdyś mieszkanie Józefa Korzeniowskiego, który osiem lat (do r. 1846) zajmował w Charkowie posadę dyrektora gimnazjum. Gmach ów pamiętny jest w dziejach piśmiennictwa naszego.

(Dokończenie nastąpi.)